

Marian Pawełczak

część I z III

Sygnatura notacji: **N0765**

Data urodzenia: **13.05.1923 r.**

Data nagrania: **26.02.2014 r.**

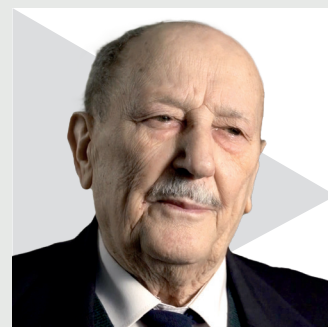
Miejsce nagrania: **dom świadka, Lublin, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Tomasz Sudoł, Maciej Żuczkowski**

Czas nagrania: **część I: 85 min, część II: 50 min, część III: 79 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Marian Pawełczak: Nazywam się Marian Pawełczak. Podczas działalności konspiracyjnej, a później partyzanckiej obowiązkowy był pseudonim, więc na razie miałem pseudonim „Tarzan”, a jak już wstąpiłem do formacji zbrojnej, do oddziału leśnego, zmieniłem pseudonim na „Morwa”. Urodziłem się w Stasinie Konopnickim, to jest tak jak pierwsza stacja tu z Lublina na Warszawę, ale później rodzice przenieśli się w okolice Urzędowa. Ojciec tam zorientował się, że jest dobry punkt na otwarcie sklepu, tak że mieliśmy sklep i gospodarstwo, było nas czterech braci. Łącznie to moja działalność zajęła 11 lat. To znaczy, początek konspiracji, a później cztery lata bitej partyzantki. Do tego później cztery lata więzienia. To 15 lat takie wyrugowane z życia młodego.

Tomasz Sudoł: Długo. Jakbyśmy przeszli do „Zapory”. Chciałbym, żeby opisał pan pierwsze pana spotkania z „Zaporą”, z Hieronimem Dekutowskim, w jakich to było okolicznościach, gdzie? I jakie pan odniósł wrażenie?

Marian Pawełczak: „Zapora” przybył do nas w styczniu 1944 roku. Po śmierci poprzednich dwóch dowódców Cichociemnych, to jest Jana Poznańskiego „Ewy” i Stanisława Jagielskiego „Siapka”. Jeden zginął podczas wykonywania wyroku na konfidentce, drugi natomiast został powieszony podczas takiej egzekucji publicznej, zbiorowej w Kurowie w marcu 1944 roku. Byliśmy na razie bez dowódcy, a w styczniu 1944 roku dowództwo okręgu AK Lublin, konkretnie to osobiście generał Marcin Tumidajski, generał Tumidajski podjął tę decyzję, żeby przejął dowództwo nad naszym oddziałem. Po tym, jak w okresie, po rzuceniu wykazał się najsamprzód świetną organizacją walki, sukcesami w walce u „Podkowy” na Zamojszczyźnie. Więc generał Tumidajski uznał, że on dobrze poprowadzi tę działalność i oddziału partyzanckiego, i jako szef Kedywu na dwa inspektoraty, Lublin i Puławy. „Zapora” miał również taką funkcję. Ja byłem

w tym czasie w takim plutonie, to się patrole nazywały, podlegającym pod dowództwo Kedywu w oddziale dyspozycyjnym okręgu AK Lublin. I z miejsca nie miałem takiego bezpośredniego kontaktu z komendantem, bo wtedy jeszcze poszczególne patrole przebywały w takim trybie garnizonowym w miejscach swojego powstania. Czyli konkretnie, jeżeli chodzi o patrol „Grzechotnika”, to w Urzędowie na przedmieściu Bęczyn, które było nazywane Londynem. Ale później w kwietniu nastąpiła reorganizacja i spośród ośmiu patroli, które podlegały wstępnie „Zaporze”, dwa zostały skierowane pod dowództwo 15 Pułku „Wilków”, konkretnie do „Zagończyka” Jaskulskiego. Zostało u nas sześć patroli, z których z tego dysponującego, kwaterującego, garnizonowego oddziału Kedywu, „Zapora” stworzył w kwietniu oddział już leśny, konkretnie OP, Oddział Partyzancki. I wtedy dołączyłem, chociaż moi bracia przeszli do 15 Pułku „Wilków” razem z „Grzechotnikiem” i ja zgłosiłem się pod bezpośrednie dowództwo „Zapory” do patrolu „Ducha”. Kochałem śpiew, a tam był taki wspaniały chór. Ja już, jak żeśmy razem działali, to często tam uczestniczyłem w tych śpiewach i zgłosiłem się tam. I sam komendant, jak go przywieźli, to już znałem... Raczej z opowiadań znałem kolegi „Sokoła”, Nieleszczuka Waclawa, który przywiózł „Zaporę” z Lublina sankami. Więc opowiadali mi o swoim pierwszym zdziwieniu, kogo to przywieźli. Taki szczuplutki, chuderlawy jegomość w jakiś za dużych butach trochę i co to będzie za dowódca. Po „Ewie”, po „Siapku”, to wyglądał na takiego mikrusa. Ale później, jak zaczął objeżdżać patrole, rozmawiać tak rzeczowo, mądrze organizacyjnie, zmieniać różne tam jakieś układy, zorientowali się, że to jest człowiek, który ma to odpowiednie wykształcenie i co powie, to w przemyślany sposób, i później pilnuje egzekwowania tych swoich zarządzeń. A później w kwietniu, jak dołączyłem, to zobaczyłem „Zaporę” w boju i zobaczyłem go bliżej. Już chodził w mundurze, czapka polówka, wąsy takie krótko strzyżone i jak emocjonalnie był tam poruszony, czy w akcji, czy coś, to mu się te wąsy tak najeżały, ruszał nimi, jak porównywałem zawsze do Wołodyjowskiego, że podobnie, bo tu i wzrost. I poczulśmy ten porządek w oddziale. Ćwiczenia. Codziennie poszczególne patrole musiały odbywać zbiórki, modlitwa wspólna, jak były warunki gdzieś tam w miejscu takim odległym, to śpiew, „Kiedy ranne...” żeśmy zawsze śpiewali. Poza tym, co jakiś czas, jak była możliwość, to starał się organizować msze polowe. To zwykle jak byliśmy w okolicach Chodla, czy Ratoszyna i właśnie wykorzystywało się tamtejszych księży proboszczów. Religijny bardzo. Zresztą teraz już wiem, jak się czyta o „Zaporze”, że był tym ministrantem od dziecięcych lat, był harcerzem i takim pozostał do końca. Za wyjątkiem czego? Że dużo palił papierosów, bo harcerze raczej nie palili, ale już wtedy nie był harcerzem, tylko żołnierzem i jakiś taki odskok od tych codziennych trudów, od tego myślenia ciągłego, jakie kwatery następne będą, jaka marszruta. On cały czas pracował. Myśmy tam przyszli gdzieś na kwaterę, to jeżeli dany patrol nie miał służby, nie wystawiał wart, to wtedyśmy korzystali z odpoczynku. Tam się człowiek rzucał, czy to podłoga, czy trawa, gdzie by nie było, ręce pod głowę i zasypiało się, odpoczywało. I wtedy człowiek czuł się trochę beztroski. Komendant natomiast po każdej marszrucie, zamiast korzystać z wypoczynku, najwyżej umył się tam, do pasa się rozebrał, to bardzo lubił i siadał znów nad mapą, i opracowywał dalszy ten. Spał krótko tam, krótkie godziny, to się o tym przekonałem później już, jak byłem w ochronie sztabu i komendanta od 1946 roku. Zawsze sprawny. Nas marsze ogromnie męczyły, a szczególnie tam te tereny na południe od Kraśnika, tak samo to choderskie, bełzyckie, gdzie najczęściej żeśmy chodzili, bo tam piachy strasznie dawały się we znaki. To tak ciężko iść po tym piachu, jeszcze człowiek objuczony bronią, amunicją. A komendanta podziwialiśmy, pewnie, że on takiego ciężaru nie niósł, ale miał z sobą mapnik, miał kolta, miał jakiegoś tam Gammona przy sobie i nigdy niezmęczony. Nie widziałem, żeby był zmęczony. Ogromnie odporny mimo tej swojej takiej mizernej postury. Głos miał tubalny przy tym wszystkim. I w czasie akcji, nieraz strzelanina, huki granatów pękających, a jego było słychać wśród tego. Dowodził, starał się dowodzić poszczególnymi stanowiskami nawet, bo raz, że dopilnowywał skutku ostrzału, bo najczęściej się

słyszało zawołanie: „Tęcza” ognia! Albo: „Tęcza”, przerwij ogień! Bo z kolei chodziło o oszczędność amunicji. Przecież na taką akcję, jak żeśmy wychodzili, to tam staraliśmy się, żeby w tych ładownicach, bo wtedy to za okupacji chodziłem z karabinem zwykłym, później zdobyłem, ale też karabin wspaniały czeski i do końca z nim chodziłem, to zawsze te ładownice wokół pasa były pełne, ale tyle. Zadaniem partyzanta to było zaskoczyć, ostrzelać i jeszcze te doskoki obowiązywały. Doskoki były po to, żeby znów zdobywać amunicję od zabitych wrogów, czy tam poddających się i broń. Dzięki temu nasza największa bitwa w Lesie Krężnickim 24 maja 1944 roku spowodowała, że mogliśmy ponad dwie godziny walczyć. Ale tam myśmy zdobyli dużo amunicji i broni.

Tomasz Sudół: O tym będziemy jeszcze mówili za chwilę, bo to też poproszę, żeby pan opisał, ale jeszcze wróćmy do „Zapory”. To znaczy, jak on się prezentował? Miał taką... Z wyglądu. Czy wyglądał na żołnierza zawodowego, czy... I sposób bycia, podejście do żołnierza, takie na przykład powiedzonka charakterystyczne.

Marian Pawełczak: Na takiego służbistę, żołnierza to nie wyglądał. Może to wynikało z tego stosunku do żołnierzy, że taki był trochę ojcowski, ale na to, to był za młody i w rozmowach z nami, przecież i szkolił w zakresie tam sporządzania tych Gammonów, tych specjalnych granatów angielskich. Był wymagający, ale taki przyjazny bardzo dla żołnierza i zawsze biorący w rozwiązaniu kłopotów każdego z żołnierzy. Jak widział, że ktoś smutny to: „Co cię tam boli? Co cię gnębi?”. I starał się pomóc. Z drugiej strony, jeżeli przygotowanie akcji i w marszach, to już był taki sprężysty, decyzyjny mocno i ogromnie odważny. Myśmy nie raz komendanta prosili podczas akcji: „Komendancie, niech się komendant położy albo przykłęknie”. To najwyżej przykłęknął, ale musiał cały czas widzieć wroga i cały postęp akcji. Był przez to dwukrotnie ranny, ale siebie nie oszczędzał.

Tomasz Sudół: Jak strzelał?

Marian Pawełczak: Strzelał wspaniale. Kiedyś taki pokaz widziałem, to już w czasie tej drugiej okupacji, przejeżdżaliśmy przez taki lasek nieduży i były takie jakieś zarośla, gdzie drzewka były o średnicy tam trzy do pięciu centymetrów. Sankami żeśmy jechali, konie w dużym kłusie, dosyć szybkie, a on wyciągnął kolta i z podrzutu strzelał kolejno do tych drzewek, później się zatrzymaliśmy, wszystkie pociski były w celu. Tak że strzelał wspaniale.

Tomasz Sudół: A uczył was zasad strzelania? Przekazywał wam tę wiedzę?

Marian Pawełczak: To scedowywał na dowódców patroli. Patroli, bo miał przecież tyle tam zadań swoich, opracowywanie całego tam toku marszów, kwater, wcięż nad mapą, to już to scedował na poszczególnych dowódców. Zresztą u nas była wspaniała organizacja. Były wszystkie rodzaje takich wojskowych działów, miał zastępcę, najsam-pierw to był... Już w tej chwili zapomniałem. Kapitan. Taki... A Kaczkowski jego nazwisko, a pseudonimu nie pamiętam. Później „Opal”, był kwatermistrz, porucznik „Świda”, któremu podlegały kwatermistrzostwo i tabor. Tabor jeden do dyspozycji lekarza i sanitariuszki, drugi do przewożenia zapasu amunicji i zapasowej broni. Był z kolei w stopniu kapitana dowódca zwiadu konnego. Ten zwiad konny między innymi podczas jazdy jakimiś podwodami nieraz 60 wozów jechało i przy skrzyżowaniach to gońcy musieli pilnować, żeby tam któraś grupa nie pojechała w niewłaściwym kierunku. Także komendant dopilnowywał swojego osobistego wglądu w działalność tych poszczególnych

sekcji i im przede wszystkim te instrukcje. Ale takie pogadanki, pokazy były od czasu do czasu z całym oddziałem. Kiedyś pamiętam, że zrobił z plastiku taki obwarzanek, bo plastik miał to do siebie, można było młotkiem w niego walić, dopóki się nie podłączyło detonatora sfontki, to wtedy bezpieczny był. I założył na taki gruby konar graba, nas tam trzymał, żebyśmy byli w pewnym oddaleniu, później spowodował odpalenie, to ten rogaliczek taki urwał taki konar graba gdzieś o średnicy 20 centymetrów. Tak jakby jakiś olbrzym, olbrzymia siła urwała to po prostu w tym miejscu, gdzie był założony ten... Szkolił przecież, wyszkolił mojego... To już bezpośrednio, sam to robił, mojego brata Janusza w zakresie minerstwa. I Janusz „Głaz” był później dowódcą minerów. Tak, tak że w ważnych sprawach sam osobiście przystępował do...

Tomasz Sudół: A jak było z dyscypliną w oddziale?

Marian Pawełczak: Więc dyscyplina była dobra. Komendant sam nie znosił tam alkoholu, pod tym względem to był zawsze harcerzem. Może troszeczkę tam patrzył tak luźniej, jak tam gdzieś w tej sekcji zaopatrzenia coś tam przywieźli, czy na utrzymaniu oddziału była jakaś... Zabraný jakiś alkohol z gorzelní jakiejś, to tamci zaopatrzeniowcy sobie troszeczkę chlapnęli, to jeszcze tam na nich spojrzął komendant. Ale jeżeli była służba, to nie wolno było, żeby komendant zobaczył, że ktoś tam korzysta z jakiegoś kielicha. Rozumiał ludzkie sprawy, ale tam, gdzie było bezpieczeństwo oddziału, dopilnowywał, żeby przez jakieś takie swawolniejsze podstępowanie, żeby to nie dawało złych skutków. Czuwał nad wszystkim. Wspaniały człowiek.

Tomasz Sudół: A wspomniał pan, panie Marianie, o Gammonie, co to był Gammon i... Bo rozumiem, że to „Zapora” was nauczył, jak to wytwarzać, jak się tym posługiwać.

Marian Pawełczak: Tak, więc w zrzutach był zrzucany plastik, materiał plastyczny, tak jak plastelina, który się dawał dowolnie kształtować, można było go podpalić, można było uderzać w niego młotkiem i nie było żadnych skutków. Dopiero tam po podłączeniu zapalnika i sfontki, więc jednocześnie z tym materiałem plastikiem były przysyłane takie woreczki. One tak wyglądały, jak jakaś sakiewka. I ugniało się ten plastik, wkładało do tego woreczka i na czas, no, krótki przed użyciem, to się zakładało, tam taka główiczka była na wierzchu tej sakiewki zakładało się tam sfontkę. I wtedy, jak uderzył Gammon wyrzucony przez żołnierza i przy styku z jakąś tam zaporą, na przykład drzwi, na jakiś tam posterunek żandarmerii czy coś, wtedy odpalał się ten Gammon, a różnica między nim a normalnymi tymi granatami siekącymi we wszystkie strony odłatkami, Gammon działał w kierunku przeszkody, dlatego był używany do wywalania krat w oknach, gdzieś tam na posterunkach. Okiennic, ścian. No, z tym że trzeba było ogromnie uważać. Mieliśmy dwa wypadki z Gammonami, że zginęli ludzie. Między innymi porucznik „Wrzos” spał z takim żołnierzem na jednym łóżku i ten uzbrojony Gammon... uzbrojonym Gammonem oparł się o ścianę. Z niego kawałki, a „Wrzos” uratowało to, że Gammon odpalił na wysokości jego pistoletu. To miał później na biodrze odbity na ciełe kształt pistoletu. Ale to go uratowało, tak. Drugi raz przyjechał taki podchorąży, ja byłem blisko wtedy komendanta, komendant stał, ja troszeczkę dalej, przyjechał, zobaczył komendanta, zeskoczył z furmanki. Furmanka w takich lotrach, jak to się mówiło, jak mówili rolnicy i o tę lotrę uderzył tym Gammonem. Miał uzbrojony, bo jechał. Gdyby tam coś go zaskoczyło, to mógł wtedy rzucić i próbować obrony. Uderzył o to, rozniosło, kawałeczki, później tam zbierali chłopcy. Komendanta rzuciło na ziemię, mnie rzuciło na taką stertę kamieni i miałem wtedy naruszony ten obojczyk,

kość łopatkową, to się prawie że rozlazło, ale później jakoś mi tam zalało okresowo. I później już miałem operację po pewnym czasie, ale to już po drugiej okupacji i tam mi uporządkowali to ramię. Ale nie było takich przypadków za dużo. Jeżeli chodzi o taki drobne wykroczenia, to nie wiem, czy to było zarządzenie ze strony komendanta, czy poszczególni dowódcy za okupacji patroli, a później plutonów stosowali, że na przykład to pewnie spowodowane było jakąś skargą ze strony ludności, że tam chłopak młody, który czuł niedosyt, wciąż... Głodowaliśmy przecież, różnie było. Więcej żeśmy głodowali, niż byliśmy syści. To poszedł tam za jakimś mleczkiem, poprosił, jak była skarga, to pamiętam, była taka kara, że tam na wsi gdzieś koń zdechł czy jakaś krowa, był szkielet, to gdzieś tam usytuowali ten szkielet i tego żołnierza bez broni postawili na baczność. Nieraz na słońcu musiał stać parę godzin. Raz, że wstyd duży, a drugie - umęczenie. No, to było wojsko. To musiała być i nagroda, i kara.

Maciej Żuczkowski: A czy „Zapora” mówił coś na przykład na temat ówczesnej polityki, na temat komuny, Rosji sowieckiej?

Marian Pawełczak: Takie pogadanki w najbliższym gronie to komendant wciąż prowadził, tak, że myśmy znali jego zdanie. Z tym że on za bardzo wierzył temu zachodowi. I wierzył w III wojnę światową, że wybuchnie. Mimo że w 1945 roku dotarł do ambasady amerykańskiej w Pradze, w Czechosłowacji i tam mu powiedzieli, że nie możemy zmienić waszego losu, bo dopominał się, żeby mógł z oddziałem przejść na ich stronę, żeby pomogli. Bo już sytuacja jest taka, że jesteśmy straceńcami, że wyginiemy. Więc powiedzieli: „To jest sojusznik, my nie możemy prowadzić jakiegoś takiego działania, które by się nie spodobało temu sojusznikowi”. Ulegali przecież cały czas. Tak, i... Ale komendant nie użalał się na to. Jeszcze tam podtrzymywał możliwość, że ta III wojna światowa będzie i że to będzie dla nas ocaleniem. Później za tej okupacji bolszewickiej to bardzo się denerwował. „Łobuzy, udają wyzwolicieli, a tu gwałcą kobiety, kradną, strzelają do ludzi”. Zachowywali się przecież tak jak w obcym kraju. I to wszystko widział komendant. Ale jeżeli chodzi o politykę, to były takie urywki. Więcej pilnował swoich bojowych zadań dowódcy i tego, żeby czuwać nad bezpieczeństwem oddziału, żeby jak najmniej chłopców ginęło.

Maciej Żuczkowski: A jakie były jego stosunki z dowódcami poszczególnych patroli na przykład, czy one się tak poprawnie układały, czy były jakieś zgrzyty na przykład z niektórymi osobami?

Marian Pawełczak: Takich zgrzytów nie pamiętam, umiał wyegzekwować taką ze strony ich dyscyplinę, posłuch. Na przykład za okupacji, pamiętam, to były ciągłe narady, bo i tych akcji było sporo. Przed naradami to my żołnierze, żeśmy sobie odpoczywali na kwaterach, a patrzymy, dowódcy suną do komendanta. I im dawał dopiero takie bliższe rozkazy i zapoznawał ich z akcją, która tam ma się odbyć, a później podrywały się patroli na rozkaz tych poszczególnych dowódców i szliśmy do wykonania zadań. Tak że nie pamiętam, żeby były jakieś niesnaski. Później to już były plutony, okres ROAK, to jednym z dowódców plutonu był „Jur”, drugim „Duch”, trzecim „Renek”, to po watach komendant był ranny w piętę wtedy, to myśmy później działali samodzielnie. To nawet komendant nie miał wglądu, jak tam nasze życie przebiega i akcje dokonywane zależały od dowódców. Mieli dużą samodzielność. Wiem o tym, bo byłem zastępcą „Jura”, dowódcy plutonu. Ale przede wszystkim ta samodzielność, na czym polegała? Żeby się ratować, jak tylko można, bo przecież była 2,5-milionowa armia bolszewicka, a myśmy się tak między nimi przewijali, dopóki nie rozpoczął się front.

Maciej Żuczkowski: Czy były czasami jakieś głosy niezadowolenia na przykład w oddziale, że dowódca, czyli „Zapora”, podjął jakąś niekorzystną decyzję? Może na przykład była źle zaplanowana jakaś akcja? Czy było coś na przykład niedopięte po prostu organizacyjnie? Czy pojawiały się takie jakieś głosy krytyczne?

Marian Pawełczak: To raczej nie. No, później, już po tym... Po obydwu tych okupacjach, to „Opal” czasem próbował tam wnosić coś takie, że: „A, żeby w Krężnicy nie jego działanie, decyzje, to akcja by była spalona. Nie wyszłoby. I tutaj u mnie w pokoju w obecności żony zaczął tak trochę „Zaporę” umniejszać, to ja podskoczyłem aż do góry, mówię: „Co ty Stachu chrzaniasz?! Ja słyszałem tylko rozkazy „Zapory” i „Zapora” całą akcją dowodził”. Wyrównałem później sprawę, bo jak ktoś nam ukradł tablice, pewnie na złom, w Lesie Krężnickim, gdzie był... Kilku było kolegów, którzy się podlizywali „Opalowi” i podali, że dowodził wspólnie z „Zaporą”, to była przykrość, że ukradli tablice, a jak żeśmy zmienili na inną z granitu, to spowodowałem, że „Opal” już nie był, zmieniony. Już żeśmy wiedzieli o nim, że nie jest wart tego szczytu, zresztą zgodnie z prawdą to „Zapora” dowodził całkowicie. No cóż, Koźuchówka. Bo tak patrzę po tych akcjach, gdzie zginęło kilku. W Krężnickim Lesie to czterech kolegów zginęło. Ale Niemcy ogromnie ostrożnie jechali i część ich samochodów nie została objęta tyralierą i później z flanki zaatakowali pluton, wtedy patrol właściwie „Kordiana” i były te właśnie straty. Na Koźuchówce zginęło też trzech ważnych partyzantów, bo dowódca swojego patrolu „Kordian”, doktor oddziałowy „Lwów”, no i Sławek, tak wspaniały RKM-ista. Ale tam było wszystko przemyślane dobrze. Wjeżdżali Niemcy w wąwóz. Myśmy wzdłuż tego wąwozu rozłożyli się tyralierą po ziemniakach, po pszenicy takiej, byliśmy wyżej nad tymi jadącymi Niemcami, ale czoło nieprzyjaciela miało być zatrzymane przez RKM, przez celowniczego z patrolu właśnie „Kordiana”. Niestety zawiodła broń, RKM, wygiął się ten podajnik i wtedy Niemcy... Ogień był przerwany, Niemcy wykorzystali, zeskoczyli z wozów, udało im się ściągnąć z wozu granatnik i zaczęli wtedy sięgać do naszych stanowisk, i zginęło tych trzech. Ale poza tym to zawsze akcje były udane. A jak z zaskoczenia coś wynikło, to komendant z miejsca opanowywał sytuację. Jak na przykład przechodziliśmy szosę w okolicach Bogucina, byłem troszeczkę zdziwiony, że to w dzień przechodziliśmy przez tę szosę, nadjechała cała kolumna z jakimś generałem niemieckim, z przodu najeżona broń, taka przyczepa samochodu, za nim tak samo ta cała ochrona, on w samochodzie w Oplu osobowym, a jeszcze nad całą kolumną sztor, niemiecki ten samolot ubezpieczał. Nie wiem, czego myśmy wtedy w dzień przechodzili, widocznie była taka konieczność i zdążyliśmy tylko na drugą stronę, najechali ci Niemcy. No, siekanina u nich chyba była spora, bo tam Renek, taki dobry RKM-ista pociągnął pod ten naszpikowany samochód i zranił ciężko tego generała. Tak że on później zmarł. To była z zaskoczenia akcja, ale komendant od razu, inicjatywa na wycofaniu, odpowiedni kierunek, tak że nic nam się nie stało, swobodnieśmy odskoczyli.

Maciej Żuczkowski: Gdzie „Zapora” z reguły po prostu znajdował się na polu walki? On gdzieś krążył między jednym stanowiskiem a drugim, czy jakoś koordynując bardziej z przodu to uderzenie na przykład, czy gdzieś pozostawał z tyłu?

Marian Pawełczak: Obierał sobie takie stanowisko, żeby miał przed oczyma te patrole, które bezpośrednio wchodziły w styczność z nieprzyjacielem, i żeby obserwować dobrze trasę przejazdu i te pojazdy wroga. Nie patrzył na to, żeby... Nie myślał o swoim bezpieczeństwie, tylko żeby jak najkorzystniejsze stanowisko obrać, które mu dawało dobry wgląd w przebieg akcji.

Maciej Żuczkowski: A z jaką bronią się poruszał właśnie w trakcie akcji najczęściej?

Marian Pawełczak: Miał kolta, z tym że pamiętam, mieliśmy taką akcję w pustelni koło Opolu, że jeszcze nie doszliśmy na stanowiska, a tam chodziło o zaatakowanie komisji niemieckiej, przeważnie złożonej z esesowców, po zbiorowych akcjach 15 Pułku „Wilków” na Ligenszafty zarządzane przez Niemców. Majątki gestapo. I nie zdążyliśmy dojść na jakieś takie miejsce dogodnie na zasadzkę, tylko zastało nas to na takim wniesieniu, właściwie ono spadało do tej szosy, gdzie Niemcy nadjechali i nie było wyjścia, trzeba było tu już padać i otwierać ogień. No, tam chyba nieźleśmy naszpikowali tych Niemców, bo gęsto ich było w tych przyczepach. Trzy takie przyczepy najechały Niemców i komendant przebiegał koło RKM-isty i mówi: „A gdzie masz krótką broń?” „No ja nie mam”. „Masz kolta! Bo jak będziesz ranny, to nie będziesz miał się czym bronić”. Tam o dobiecie właściwie chodziło, żeby się nie poddać. I sam bez broni został, z mapnikiem i z trzcinką taką, którą wodził po mapniku.

Maciej Żuczkowski: A mam do pana takie pytanie z innej beczki, czy Dekutowski był taką osobą bardzo religijną? Jaki miał... Czy widać było to u niego?

Marian Pawełczak: Oczywiście. Wspominałem o tych modlitwach porannych za czasów okupacji. O tych możliwościach mszy, gdzie było ciszej w terenie, jakiś taki względny spokój, to księdza tam cichaczem jakoś sprowadzali, podwozili. Później już jak byłem przy jego ochronie, to widziałem, że się modli rano, wieczór. Zresztą myśmy się wszyscy modlili. W marszach to wciąż mówiłem różaniec. To i nie zasnąłem w marszu, bo i to się zdarzało. I tak się polecałem Bogu, żeby szczęśliwie wszystko przechodziło i to chyba też skutkowało. Pobożny był komendant. Kontakty wciąż z księżmi, gdzie tylko była potrzeba, czy pogrzeb jakiś. Przecież mieliśmy ten swój cmentarz partyzancki w Lesie Godowskim, tam 20 kolegów kolejno, jak ginęli, byli chowani, to zawsze pogrzeby z księdzem, krótka msza polowa oprócz tej salwy, którą żeśmy tam oddawali. I zawsze w kontakcie. I opowiadał nam o tym, że był ministrantem, chociaż nie wymieniał swojej miejscowości. Później już, jak koledzy niektórzy wiedzieli, gdzie on jest, to mówiliśmy o jego rodzinnej miejscowości w skrócie, TGB. W TGB to albo to się działo.

Maciej Żuczkowski: Opowiadał w ogóle o swoim rodzinnym domu? O swoich latach szkolnych?

Marian Pawełczak: Nie, nie opowiadał. To teraz znam z tych różnych opisów, a tak... Rozmawiał o tym, to takie urywki słyszałem ze szkolnych tam czasów, jak w 1946 roku dołączył do nas jego kolega szkolny, Kazio Gałuszka pseudonim „Kazek”, on pochodził tam z tych lasów, z tej ordynacji Zamojskiego. Jego ojciec był tam, zdaje się, kreślarzem i „Zapora” często na wakacje jeździł do niego. To jak „Kazek” był, to tam takie urywki nieraz się dawało słyszeć, ale zawsze w czujny sposób omijano nazwę miejscowości.

Maciej Żuczkowski: A „Zapora” był takim typem osoby takiej zamkniętej, powiedzmy w sobie, czy na przykład zdarzało mu się zwierzać ze swoich wątpliwości, jakichś dylematów moralnych z najbliższymi żołnierzami?

Marian Pawełczak: To raczej bym powiedział, że zamknięty. Tak. Nie lubił się żalić na jakieś tam okoliczności.

Przecież wiemy, że narzeczona jakoś tam nie poczekała na niego. On to przeżywał podobno mocno, ale tego nie okazywał. Nie, nie miał czasu nawet na jakieś takie swoje osobiste wspomnienia.

Maciej Żuczkowski: A w czasie jego... Znaczący, kiedy był dowódcą oddziału, miał jakieś życie prywatne, czy...

Marian Pawełczak: Niestety, tak jak myśmy nie mieli życia prywatnego, tak samo i on. Tak jest. Później tam domysły, że tam miał jakąś narzeczoną, nawet w albumie pani Kurek wskazała. Ja mam kontakt z tą dziewczyną, zresztą ona kiedyś przyjechała na takie nasze spotkanie, uroczystość, to mi powiedziała: „Oj, podali mnie za narzeczoną, to nieprawda”. Mówi: „Komendant był wspaniałym człowiekiem, ale on tam nie miał głowy jakiejś, żeby jakieś swoje tam prywatne sprawy prowadzić”.

Maciej Żuczkowski: I żyje jeszcze ta pani, tak?

Marian Pawełczak: Żyje. No, schorowana. W jakiej miejscowości? Chyba Szczecin. Szczecin. Nawet posłałem jej teraz swoją książkę. Ucieszyła się. I jej matka była komendantką organizacji kobiet w Ratoszynie. Zapomniałem w tej chwili nazwisko.

Maciej Żuczkowski: Jeszcze takie ostatnie pytanie z serii o „Zaporze”, funkcjonował bardzo znany utwór, czyli tak zwany „Marsz Zapory”, prawda? Czy jest pan w stanie na przykład fragment zacytować teraz? Albo na przykład nam zaśpiewać.

Marian Pawełczak: Pamiętam całą tę piosenkę. Autorem tych słów to był Stanisław Gabriolek, porucznik, a melodię, to nie wiem, kto tam podpowiedział. Stara melodia legionistów. „Maszerują strzelcy”. A tutaj się inaczej, ja wiem, spróbować zaśpiewać? Maszerują cicho niby cienie Poprzez lasy góry i pola Niejednemu wyrwie się westchnienie Idą naprzód taka ich dola I idą wciąż naprzód, bo taki ich los I ani żal, ani tęsknota Z tej drogi zawrócić nie zdoła ich nic Bo to jest „Zapory” piechota. Z tej drogi zawrócić nie zdoła ich nic Bo to jest „Zapory” piechota. A gdy księżyc wyjdzie spoza chmury I nastanie cicha piękna noc To leśnej piechoty ciągną sznury Widać wtedy siłę ich i moc. Choć twardą im była germańska dłoń Do boju ich parła ochota I zawsze zwycięstwo musiało ich być Bo to jest „Zapory” piechota. I zawsze zwycięstwo musiało ich być Bo to jest „Zapory” piechota. Teraz za drugiego okupanta Jeszcze nam nie oschła jedna krew Po zdradziecku sięga nam do gardła Na tajgi Sybiru chce nas więzić. Pomylił się Stalin, pomylił się kat A z nim ta zdziczała hołota Za zamek, za Katyń, za Sybir, za krew Zapłaci „Zapory” piechota. Za zamek, za Katyń, za Sybir, za krew Zapłaci „Zapory” piechota.

Maciej Żuczkowski: Bardzo dziękujemy za...

Marian Pawełczak: No, dobrze mi się śpiewa, jak spotkam się z takim Stasiem Gajewskim z Urzędowa.

Maciej Żuczkowski: Z Urzędowa.

Marian Pawełczak: Tak, jemu też dwóch braci zginęło. Świątynny głos ma, no i ćwiczy wciąż, bo ja tam rzadko kiedy śpiewam, bo należy do chóru kościelnego w Urzędowie. A to jak człowiek ćwiczy głos, to dłużej się utrzymuje.

Maciej Żuczkowski: A czy w oddziale na przykład „Zapora” miał jakąś swoją ulubioną piosenkę, którą nucił na przykład? Niekoniecznie musi być piosenka wojskowa, ale czy miał taki po prostu swój ulubiony szlagier...

Marian Pawełczak: Lubił ogólnie śpiew. Śpiew i nasz repertuar „Duchów”. Tak i, jak przyjeżdżały tak zwane ciotki, to znaczy... Albo mamy partyzantów, albo takie patriotki, między innymi z Krężnicy dziedziczka tej... Tośmy ją nazywali Babcia Okrągła, bo pochodziła z Krężnicy Okrągłej. Przywoziły tam frukty różne, wypieki swoje. Jeżeli był czas taki spokojny, to za okupacji, bo później to już trudno było, to była codziennie prawie walka. Pościg albo wycofywanie. To komendant później, chcąc im się odwdzińczyć, wzywał pluton, patrol „Duchów”. „Duchy” śpiew! No i wtedy śpiewaliśmy. Mieliliśmy tam tak „czarny statek na nim pieśń nieznana, trupie czaszki, dwa piszczelce w skos”. W swojej książce tam ulokowałem te wszystkie piosenki i partyzanckie, a później lubił... Już jak powstał ten „Marsz Zaporczyków”, lubił, jak tośmy śpiewali. No, a sam nas nauczył „Modlitwy obozowej”, którą śpiewali w Anglii polscy żołnierze. „O, Panie, któryś jest w niebie, wyciągnij sprawiedliwą dłoń. Wołamy dziś chyba do Ciebie, o polski dach, o polską broń. O, Boże, skrusz ten miecz, co siekł nasz kraj, do wolnej Polski nam powrócić daj! By stał się twierdzą nowej siły, nasz dom, nasz dom”. To często sam podpowiadał, żeby to śpiewać. Tak. I sam się włączał, miał niezły głos. Nie zawsze, ale nie raz się włączył, to pomagał dosyć naszemu chórowi. Chór prowadził kolega, który był takim wyjątkiem, że grał na fortepianie, na pianinie, Jurek „Cedur” i pseudonim miał taki muzyczny. I on właśnie dobierał kolegów. Tam był egzamin, trzeba było się wykazać głosem, słuchem, żeby być przyjętym do tego chóru.

Maciej Żuczkowski: I można powiedzieć, że takie życie kulturalne troszkę w oddziale kwitło, prawda?

Marian Pawełczak: Tak jest.

Maciej Żuczkowski: W sensie, że było urozmaicone, prawda?

Marian Pawełczak: Tak, tak. W tym zakresie właśnie.

Maciej Żuczkowski: A sam „Zapora” był jakoś muzyczny? W sensie potrafił grać na jakimś instrumencie, czy...

Marian Pawełczak: O instrumencie żadnym nie wspominał. Lubił śpiew. I miał niezły głos, zdaje się baryton. Tak, tak że i na niskie tony potrafił zejść i na wyższe. Nucił sobie czasem. Już, jak byłem blisko niego, to nieraz słyszałem, komendant nuci. „Maszeruje cicho” też nucił. No, może jako melodię legionistów. Bo wspominał przecież tamte czasy, jego brat był w Legionach. Później... nie zginął, zmarł w szpitalu, ale był wzorem dla komendanta.

Maciej Żuczkowski: A wspominał pan o takim drobnym nałogu „Zapory”, czyli o paleniu, to kojarzy pan, jakie na przykład papierosy lubił palić?

Marian Pawełczak: Wtedy to korzystaliśmy z tych tytoniów produkowanych przez rolników. Więc tam różne. Tam i Hercegowina była na piaszczystych glebach produkowana. To był taki delikatny tytoń. Ale komendant wiem, że lubił mocniejsze takie. Pamiętam, po którejś akcji któryś z kolegów chciał go poczęstować niemieckim papierosem. Chyba Juno. I spojrzął, wziął, bo chciało mu się palić, ale zobaczył, że to niemiecki, zgniótł, rzucił. „Co takie świństwo mi podajesz?”. I palił dużo. Pamiętam, te jego palce to były takie pożółkłe i wąsy też od dołu pożółknięte. A wcale się nie dziwię, jakiś nałóg musiał mieć. Tak, tym może odrzucał te stresy, bo przecież jako dowódca to musiał je mieć. W ciągłym napięciu, jak prowadzić akcje, jak oddział zabezpieczyć, żeby nie było strat, żeby nie ginęli ludzie. I przeżywał ogromnie każdą śmierć. No, przypadek przecież mojego brata, jak zginął. Jest zdjęcie, tam moi rodzice, ja, komendant i później jego rozkaz odnośnie awansowania pośmiertnie brata do stopnia podporucznika, bo my już z „Jurem” byliśmy... Nie, ja dopiero później zostałem awansowany. A Jurek wcześniej w 1945 roku, jak został dowódcą plutonu, a później Janusz pośmiertnie i dodatkowo odznaczony krzyżem Virtuti Militari. To odebrałem ten krzyż, tam mam, to jest brata. Uzyskałem legitymację do tego krzyża, a tak samo legitymacje dla nas wszystkich, trzech braci, na Krzyże Walecznych w Urzędzie do spraw Kombatantów. Jeszcze pan Janusz, ten, co zginął... Nie, nie Kurtyka. Jakoś on się...

Maciej Żuczkowski: Krupski.

Marian Pawełczak: Krupski, tak. I jeszcze nam wręczał w asyście dwóch pułkowników, i wtedy, i „Słowik” dostał legitymację, krzyż mu przypiął pan Krupski. To było w oparciu o dokument mianowań i odznaczeń, który znalazłem w archiwum lubelskim, tutaj w Państwowym Archiwum. Taki trochę podniszczony ten dokument, bo gdzieś przechowywany był, gdzieś zamókł, ale jednak był podstawą, że mogłem już dostać dokument na te mianowania.

Maciej Żuczkowski: A jak pan zapamiętał „Zaporę” tak jako osobę... Znaczy, z wyglądu? Bo wspominał pan, że on stale chodził na przykład z mapnikiem i z taką trzcinką, którą się posługiwał.

Marian Pawełczak: Tak, bo przesuwiał po tej mapie i z tą trzcinką. W miarę możliwości trzymał się prosto, bo przecież niewysoki, to jakby się tam przygarbiał, czy coś, to by go pomniejszało. Płaszcz jakiś tam na sobie wojskowy. Zapięty często tylko tutaj tak jak peleryna, tu luźne miał ręce, polówka. Najbardziej to właśnie jest podobny do siebie na takim zdjęciu z polówką. Bo różne tam zdjęcia miałem jego. Później takie fabrykowane, w miarę możliwości podobne, ale takie bardzo uślicznione nowocześnie, a komendant miał zawsze takie rysy bojowca.

Maciej Żuczkowski: A czy na przykład on się chętnie... Bo często było tak, że oddział kwaterował gdzieś na jakichś kwaterach, był czas wolny, były jakieś tam ewentualnie zabawy organizowane, to komendant się włączał na przykład w takie... W coś takiego, czy...

Marian Pawełczak: Zabaw ja nie pamiętam. Nie, właśnie...

Maciej Żuczkowski: To znaczy, chodzi mi o takie moment, gdzie na przykład była muzyka, gdzie był jakiś śpiew, jakieś żarty powiedzmy, czy to dowódcy podobało się, powiedzmy?

Marian Pawełczak: Przyszedł, jak gdzieś tam na kwaterze śpiewaliśmy, czy grali, bo i był instrument za okupacji zdobyty na Niemcach i Czech, który przysłał wtedy do nas, świetnie grał na nim, to komendant przychodził, posłuchał nieraz niezauważony, ale jak żeśmy go zauważyli to z takim uśmiechem, z takim... Bez napięcia. Widać było, że relaksował się tym. Natomiast, jeżeli chodzi o zabawy, to i żołnierze nie mogli korzystać, ja później, jak porównywałem niektóre oddziały tu na Lubelszczyźnie, które miały straty przez to, że albo żołnierze w mundurach szli do kościoła miejscowego, narażali przez to ludność. Niby podnosili ten patriotyzm, dodawali ducha, że tu żołnierz istnieje, ale później następstwa były nieraz przykre. Beztróska kwaterowali. Te warty nieraz były tak niedopilnowane. U nas to był oficer inspekcyjny, ja często miałem taką później funkcję, że się sprawdzało, czy tam nie przysnął ten. Nawet Zwolak to takie miał wspomnienia, żeśmy go podeszli, wydawało nam się, że niepostrzeżenie z Jurkiem Zawadą, z tym drugim adiutantem „Zapory”, a on tam RKM-em był na warcie i już miał otworzyć ogień do nas. To do tej pory mówi: „Oj, bym was zabił”. Tak że była ta ciągła czujność i komendant nawet obcy oddział jak zobaczył, że tam nie ma wart, że jakoś tak w rozluźniony sposób kwaterują, to przecież narażało się i ludność, i samych siebie. I były później akcje, gdzie dużo ludzi ginęło z tamtych oddziałów. To potrafił zawołać dowódcę, objechał go porządnie, że tu ma być po wojskowemu to wszystko utrzymane. Tak.

Maciej Żuczkowski: A wspominał pan jeszcze... To takie jest ostatnie pytanie z mojej serii, o tym cmentarzu partyzanckim w lesie Gułowskim, tak?

Marian Pawełczak: Godowskim.

Maciej Żuczkowski: Godowskim.

Marian Pawełczak: Tak.

Maciej Żuczkowski: I czy ten cmentarz powstał właśnie na polecenie „Zapory”? I czy on dalej istnieje?

Marian Pawełczak: Cmentarz istnieje. Czy „Zapora” osobiście tam uzgadniał to miejsce, czy mógł to zrobić kwatermistrz, porucznik „Świda”, bo to właściwie do jego zadań takich należało, to tego dokładnie nie wiem. W każdym razie miejsce w lasu, należącym do takiej kobiety, ona tam blisko tego lasu mieszkała, chyba Duda jej było nazwisko, ona ofiarowała to miejsce pod ten cmentarz i tam kolejno żeśmy tych kolegów chowali. Później, już jak... A, tak samo byli chowani koledzy, którzy zginęli później podczas drugiej okupacji, więc...

Maciej Żuczkowski: Ale też w tamtym miejscu, tak?

Marian Pawełczak: Też w tym miejscu. Z tym że później rodziny ekshumowały ich kolejno i ja nie wiem, czy już wszyscy byli zabrani, to UB taki skok zrobiło. W 1947 roku odkryli ten cmentarz, to postrzelali tam te krzyże, poprzewracali. Pomnik taki był, do tego pomnika strzelali. I jakiś czas tam było trudno to poprawić, chociaż ludność już pamiętała i przynosiła i tak tam znicze, kwiaty, a później, jak żeśmy założyli Środowisko, byłem współzałożycielem

1995 roku i pierwszym prezesem Środowiska to w statucie żeśmy sobie ulokowali taki głównym punkt: pamięci o miejscach tych martyrologii, w które włączony był również ten cmentarz. I po paru latach tego naszego działania zebrałem taką grupkę, pięciu nas było, jeszcze kolegów sporo żyło, zwróciliśmy się do kolegów, bo tak, krzyże brzozone, przewracały się, spróchniały. Tablice, jak mówiłem, były ukradzione dwie na Kozuchówce i w Lesie Krężnickim. I myśmy pozamawiali krzyże z takich grubościennych rur, pomalowane a'la brzoza. Gdzie jakieś ogrodzenia były tak samośmy uporządkowali i w lesie tym Godowskim ogrodzenie było już fatalny stan, przewracało się, więc zamówiliśmy nowe ogrodzenie. Z drewna, ale porządnie impregnowanego i do tej pory się to ładnie trzyma. Jak mam jakąś okazję tam podjechać od czasu do czasu, to to się utrzymuje. Tak samo te groby, gdzie spoczywali koledzy, to tam pilnujemy, żeby te ocementowania trzymały się należycie. I nie pamiętam, czy myśmy tam krzyże również zmieniali na te... Z rur, tylko już takich cieńszych. Gdzieś tam zdjęcia takie są porobione. To taka była nas grupka pięciu, taki przyjaciel nasz z Borowa, Wiesio Mazurkiewicz, on tam był jeszcze chłopcem, jak myśmy tam nieraz przychodzili na kwaterę, przybiegał, głaskał broń, prosił, żeby mógł poczyścić. On żyje i on... Albo jego córka, albo on, udostępnił nam samochód ciężarowy i tam żeśmy to wszystko przewozili, a później zaprawę cementową i gitarka, ja, „Kowboj” zabawiliśmy się w murarzy i to wszystko żeśmy tam betonowali, utrzymywali.

Maciej Żuczowski: Chciałem jeszcze pana zapytać o „Zaporę”, czy pamięta pan ten moment, kiedy widział go pan po raz ostatni.

Marian Pawełczak: Widziałem „Zaporę” ostatni raz w czasie ujawnienia. To był gdzieś początek kwietnia 1947 roku. Więc próby tego ujawniania, tych kontaktów, to zaczynały się wcześniej, już podczas zimy, ale to były nawet takie robione podstępny ze strony UB, że próbowali wtedy przechwycić albo wybić nas. W końcu zobaczyli, że jesteśmy za ostrożni, tylko wymóg taki był ze strony szefa KBW, pułkownika Hańskiego i ze strony wojewódzkiego UB, żeby ujawniać się grupowo. Grupowo ujawniła się tylko grupa „Jadzinka” w Ratoszynie. Oni się chyba ujawnili 2 kwietnia. I ja tam współdziałałem w tym ujawnieniu, nawet któryś kolega opisuje, jak jeździłem z inspektorem Siłą-Nowickim po oddziałach, bo jego tak nie znali i on tam agitował o ujawnianie się. Tak że pracowałem przy przygotowaniu tego ujawniania. I później ujawnienie trwa, ja o tym nie myślę nawet, żeby się tam ujawniać. Jesteśmy w takiej grupce „Zapora”, „Renek”, porucznik „Renek”, ten Szaliłow Jan, „Wisła”, „Wrzos”, jesteśmy gdzieś tam na kwaterze i komendant podchodzi do mnie, mówi: „Morwa, ty się masz ujawnić”. „Ja? Komendancie, jak ja się ujawnię? Ja nie widzę tam możliwości życia z nimi”. „No, niestety dałem twojej mamie słowo, że spróbuję cię uratować”. Na pogrzebie drugiego brata Janusza, rodzice wtedy byli na tym pogrzebie, no i mama mówi: „No jeden syn nam zostaje, z tych, co byli w partyzantce, boimy się o niego”. I komendant powiedział, że przyrzekł mamie, że spróbuję mnie uratować. A od tego czasu, od śmierci Janusza to było tyle akcji, tyle gwizdnęło kul koło mnie. Tyle razy miałem postrzelane poły płaszczka czy czapki, co on biedny tam mnie mógł uratować. Ale w zasadzie spełnił swoje zadanie i to przyrzeczenie dane mamie, uratował mnie, bo żyję do dzisiaj. No, wysłuchałem jego tego powiedzenia. Mówi: „No, spróbuj, spróbuj, tylko nie przyznaj się, że masz stopień oficerski przy ujawnieniu”, bo wiedział, że oficerów to tam szybciej... Że on więcej wie, że może gdzie zamelinowana broń. To brali z miejsca tam do rozpoznania. No i wiem, że smutny ja byłem i komendant był smutny. Zasalutowałem mu, „Rozkaz, komendancie”. I ujawniłem się. Na Krótkiej tu w Lublinie 21 kwietnia 1947 roku. Miałem nie podawać swojego tego pierwszego stopnia oficerskiego, ale wszedłem na salę, gdzie były te ujawnienia i jeden z ubeków mówi: „O i pan porucznik, Morwa’ do nas zawitał”. Tak że oni dobrze wiedzieli.

Maciej Żuczkowski: A sam „Zapora” wierzył w ogóle w sens ujawniania się? On nie chciał się ujawnić, prawda? Znaczący, on zdecydował się na opuszczenie kraju.

Marian Pawełczak: Tak, „Zapora” nie chciał się ujawnić. Podjął tę drugą próbę, bo pierwszą próbę w 1945 roku przez Czechosłowację nie udało się. Nie udało się, później wracali. Udawali Polaków powracających tam z Zachodu. Kilku z nich na Pankracym odbyło więzienie, były sądy, ale później przy przekazywaniu ich do UB jakoś udało się im uciec. Już konkretnie nie pamiętam którzy, a komendant z „Żorzem” udawał właśnie, że wraca z tej zachodniej strony do ojczyzny. Tak jak wspominałem, po drodze w Pradze wstąpił do ambasady tej amerykańskiej, nic to nie dało, i wrócił z powrotem, i on nie myślał o ujawnieniu. Bo wiedział, że jego skrytobójczo, czy w jakikolwiek sposób, to zamordują. Tam była jakaś z opisu teraz, z opowiadań „Opala”, chwila jakaś, że tam miał coś podpisać, ale później anulował to. Anulował i próbował tej ucieczki.

Maciej Żuczkowski: A kiedy się pan dowiedział, że „Zapora” wpadł? Że został złapany przez ubeków?

Marian Pawełczak: Dostyc późno, bo... No cóż, cztery lata po ujawnieniu mnie aresztowali, a dwa lata po śmierci „Zapory”, w 1949 roku zamordowali go, ja w 1951 roku zostałem aresztowany, to jeszcze nic żeśmy nie wiedzieli o tym. Tylko tak żeśmy oczekiwali, że może tam coś się odezwie, ale w głębi serca to obawialiśmy się, że coś to się nie udało. I dopiero później... No, kiedy? 1989 rok, jak już spotkaliśmy się wszyscy i w Tarnobrzegu było poświęcenie tablic w kościele dominikanów, tam, gdzie on służył do mszy, tych tablic, to tam spotkaliśmy Siłę-Nowickiego, przyjechał. I prosił go, żeby nam powiedział, co się stało w ostatnich chwilach „Zapory”, ale nie wiem, co temu człowiekowi się stało, patrzył tak na nas z góry, nic nie chciał mówić. Tak jakoś arogancko, wrogo do nas się odnosił, nie rozumieliśmy, dlaczego tak było. I od niego nic żeśmy się nie dowiedzieli. Tak że parę lat to potrwało, zanim byliśmy zorientowani.

Maciej Żuczkowski: A przypuszczał pan, że uda się odnaleźć miejsce pochówku „Zapory”? Że w ogóle się go uda zidentyfikować?

Marian Pawełczak: Jeszcze w czasie, jak istniało nasze Środowisko, bo teraz spowodowałem już rozwiązanie, bo nie było żołnierzy do obsady tam poszczególnych funkcji, to przecież sprowadziliśmy urnę z prochami jakichś tam pomordowanych ludzi na Służewcu. Okazało się, że gdzie indziej, nie trafiliśmy wtedy. Ta urna została zainstalowana w pomniku symbolicznym „Zapory”, z tym że ja teraz proponuję, żeby okazalszy ten pomnik zrobić, jak się będzie sprowadzała urnę już z właściwego miejsca z tą ziemią tam, gdzie oni byli rzućni do tego dołu, tym bardziej że okazało się po latach, że fundatorem, sponsorem tego pomnika symbolicznego na Podzamczu był TJ. Tajny współpracownik. Luśnia. Tak, dopiero się później to okazało. Tak że wołałbym, żeby inny pomnik tam powstał.

Maciej Żuczkowski: Pamięta pan, jaka była pana reakcja, gdy dowiedział pan się z mediów, czy ktoś do pana zadzwonił, że udało się zidentyfikować szczątki „Zapory”?

Marian Pawełczak: No, taka ulga, że przynajmniej znane jest to miejsce. Jednocześnie była informacja o staraniach tego profesora Szwaagrzyka, tej grupy geologów, i to tak budująco. I poza tym ta nadzieja, i ona się na pewno spełni,

że komendant i ci koledzy zostaną godnie pochowani jako bohaterowie narodowi. Na to czekamy, to ma być 27 września w 75. rocznicę powstania Podziemnego Państwa Polskiego. To tak określił profesor Szwagrzyk. Jest, oprócz komendanta, dwóch kolegów zidentyfikowanych dotychczas, „Rys” i „Junak”, ale pan profesor Szwagrzyk, słuchałem jego audycji w Radiu Maryja, powiedział, że do dwóch miesięcy czasu będą podane następne nazwiska. Byłem na takim spotkaniu z profesorem Szwagrzykiem w Centrum Kultury tu Lubelskiej, to pokazał taki film dokumentalny i tam taka grupa ludzi, szczątków ludzi, która jest właśnie... Ośmiu, wśród których był „Zapora”. I ja tak patrzyłem i głośno mówię do profesora: „Ja już wiem, który komendant, ten na wierzchu”. „A po czym pan poznaje?”. „Bo najmniejszy wśród nich. To byli wszystko chłopki wyżsi”. „Zgadł pan, tak, to są szczątki „Zapory””. A nie podają tych innych na razie, żeby dokładnie ta identyfikacja przeszła, żeby nie było pomyłki, żeby coś nie odwoływać. Również zainteresowała mnie ta wypowiedź, że w innych miejscach będą poszukiwania między innymi w Łodzi, gdzie był mój brat zamordowany. Ja już materiał genetyczny wysłałem do tej komisji do Szczecina i czy będę żył, czy nie, gdyby tam... Gdzieś tam odkrywają, że na cmentarzu pod nazwą Doły w Łodzi, że tam właśnie grzebali tych ludzi. Dołowali, bo to nie było grzebanie przyzwoite.

Maciej Żuczkowski: Czyli pana zdaniem jest to dobra inicjatywa, żeby...

Marian Pawełczak: Pewnie.

Maciej Żuczkowski: Tych ludzi przywrócić na nowo do pamięci.

Marian Pawełczak: Pewnie. I tę pamięć rozszerzyć w społeczeństwie i to, co oni robili. Bo dzisiaj są tacy mili, nie ma tam żadnych winnych, bo im się tak jakoś udaje, bo ich okrążył stół uratował, bo później gruba krecha też zastała dostęp do nich i świetnie sobie żyją, a ich dzieci, resortowe dzieci dzisiaj są na funkcjach, gdzie nasze dzieci czy wnuczka to muszą gdzieś tam wyjeżdżać za granicę, nie mają pracy.

Maciej Żuczkowski: A czy pana zdaniem „Zapora” jest taką postacią, która może być takim wzorem dla młodego pokolenia?

Marian Pawełczak: Oczywiście. Pewnie. Był człowiekiem, żołnierzem, dowódcą, zawsze na miejscu, zawsze dbającym o honor i emanowała z niego ta miłość do ojczyzny. Tak, o swoim harcerstwie wspominał czasem, że początki tego rozeznania, a przede wszystkim topograficznego, bo on wspaniale czytał mapę, gdzie on zaprowadził nas kiedyś aż pod Przełęcz Dukielską i to tylko na podstawie map. Drugi raz poszedł z grupą aż do Spały. I wszędzie sobie radził dzięki temu, że umiał każdą ścieżeczkę oznaczyć na mapie i skorzystać z niej. Urodzony dowódca. Dużo dało mu harcerstwo, bo tam nabywał różne sprawności już jako młodzieniec i miał zaliczone później... Jeździły do Spały i tam były takie egzaminy. I może dlatego on pociągnął wtedy z grupą w 1945 roku na jesieni pod tę Spałę, że chciał tę Spałę odwiedzić. Tak.

Maciej Żuczkowski: A bo się takie właśnie odbywały coroczne zjazdy harcerstwa, prawda? I to tam prezydent chyba również w tym uczestniczył?

Marian Pawełczak: Prezydent Mościcki. Tak. Wtedy jak poszedł „Zapora”, to było inaczej. Jeszcze tam przygotowywali biesiadę taką dla komuchów, a tu głodni chłopcy przyszli, zaczęli się brać za to jedzenie, kucharki tam się denerwowały: „Co wy tu robicie?! Kto wy jesteście?! To jest przygotowane dla ważnych osób”. A ci chłopcy mówią: „Tak? To my biedni partyzanci, których zmusili do nowej walki, to jesteśmy niegodni?”. „Partyzanci, nasze chłopaki!”. Dopiero podsuwały te kobiety najlepsze kąski. Jeszcze to zjedzcie, jeszcze to. I jeszcze znaleźli tam magazyn taki mundurowy i wielkie święte, bo się wszystko poprzebierało w nową bieliznę, w nowe mundury, ale wszy to i tak przechodziły do nowego tym bardziej chętnie. Tego to trudno było się pozbyć.